

„Bibliotekarz”

Poznański koniec świata nastąpił, gdy jedyna osoba mogąca mu zapobiec utknęła w windzie.

Koniec świata wkradł się do uczelni jak nieproszony gość i jął demolować marmurową przestrzeń. Najpierw wystrzelił chmurę gazu w środek holu, potem rękami zamaskowanych i ubranych w czerń postaci wymordował siedmiu ludzi, którzy akurat byli na parterze – począwszy od portiera, przez dwie studentki rozmawiające o egzaminie, jednego studenta, który rozmawiał przez telefon aż do trzech profesorów wychodzących razem z budynku. Potem murami wstrząsnęła eksplozja – to granat wrzucony został na drugie piętro.

Ta eksplozja wstrząsnęła windą i zatrzymała ją pomiędzy piętrami, gasząc równocześnie światło.

Był siedemnasty lutego, godzina dziewięta trzydzieści, Marek Filipiak właśnie kończył pierwszą kawę.

O tym, że budynek Collegium Maius jest być może najbardziej nawiedzonym miejscem w Poznaniu wiedzieli wszyscy. Tak było od lat. Te wszystkie rotacje między studentami w głównej mierze właśnie z tego wynikały – nie wszyscy potrafili żyć w miejscu tak bardzo naznaczonym fluidami nie stąd, nie z tego świata; uciekali – albo zostawali wyrzucani. Zła aura najbardziej wyczuwalna była w podziemiach, przyziemiu i na dwóch pierwszych piętrach, choć czasem zdarzało się, że coś przesunęło popiersie Mickiewicza w Salonie pod kopułą z jednej strony auli na drugą. Mimo że od czasów wojny minęło już dobrych kilkadziesiąt lat, duchy nie ucichły, a pomordowani w prosektoriach żądali dziejowej sprawiedliwości. Tak głosiły legendy. Śmiałkowie, chcący z Maiusa zrobić swoistego rodzaju *Blair Witch Project* bądź w przyziemiu nagrać *Paranormal Activity 2.0Pyrlandiaersion* rzadko wydostawali się z uczelni o własnych siłach. Tuszowane przez dziekanaty niewyjaśnione sprawy gasnących świateł, smrodu siarki, dziwnych obrażeń na ciałach studentów i dziennikarzy łaknących krwi w końcu doprowadziły do tego, że świat nadprzyrodzony się wkurzył. I wkurzyły się władze miasta. Był siedemnasty lutego, winda zatrzymała się między piętrami, Filipiak odłożył kawę i z zamykanej na klucz szuflady w biurku wyciągnął elegancką aktówkę, by potem ze spokojem wyjść ze swojego gabinetu i iść na klatkę schodową, uratować damę w opałach – i przekonać ją, by to wszystko zakończyła.

– Halo! Jest tu ktoś?! Utknęłam!

Monika już chwilę temu straciła nadzieję na to, że uda jej się rozewrzeć drzwi samodzielnie. Wystarczyły trzy złamane paznokcie i pęknięty pilnik. Musiało stać się coś poważnego, bo nawet system alarmowy nie działał. Cała uczelnia jakby zamarła, a ona waliła ramieniem w stalową ramę bądź w szkło, by drzwi choć trochę się uchyliły. Wtedy być może udałoby jej się wspiąć się na podłogę piętra drugiego gdzieś na wysokości jej wzroku lub zeskoczyć na piętro pierwsze, nieważne, byle wydostać się z tej szklanej pułapki.

– Halo! Tu jestem! Utknęłam w windzie!

Mężczyzna, który wyłonił się zza rogu w niczym nie przypominał osoby mogącej ją uratować. Szczupły, elegancko ubrany, z lekką siwizną na skroniach i okularach profesor bądź doktorant szedł do windy nie spiesząc się. Nie wydawał się również zaniepokojony widokiem uwięzionej dziewczyny.

– Dzień dobry, czy mógłby mi pan jakoś pomóc? Co się w ogóle stało? Zadzwoń pan po straż?

Mężczyzna ocenił wysokość windy, spojrział w dół i w górę, w końcu jego wzrok zatrzymał się na dziewczynie.

– To nie będzie potrzebne, pani Moniko, proszę chwilę poczekać.

Monika zmarszczyła brwi. Nie miała z tym mężczyzną żadnych zajęć, nie widywała go w sekretariacie czy dziekanacie, ciekawe, skąd wiedział, jak jej na imię. To jednak długo nie zaprzętało jej głowy, bo on wyciągnął z aktówki krótki nóż i stanął pod oszklonym szybem.

– Nie bój się – powiedział, przykładając ostrze do swojej dłoni. – Radziłbym ci usiąść i zasłonić głowę – dodał uprzejmie, a jego głos, choć przytłumiony, wydał jej się wyjątkowo wyraźny.

Na rozcięciu skóry od razu pojawiła się krew. Mężczyzna zanurzył w niej palec i namalował czerwony okrąg na szkle gdzieś na wysokości jej butów. W okręgu pojawił się jakiś symbol, długa pionowa kreska zakończona grotem. Monika obserwowała z narastającym przerażeniem, jak rysunek powiększa się, a na koniec cała zakrwawiona dłoń ląduje na tym graffiti.

Szkoło zadrżało.

Od miejsca, gdzie wylądowała dłoń zaczęła powoli rozchodzić się pajęczyna pęknięć.

„To niemożliwe.”

Mężczyzna cofnął dłoń. Gdy pęknięcia poszybowały we wszystkich kierunkach, szkło pękło. Najpierw pomalutku, a potem po prostu rozsypało się w małe części, które spadły na podłogę windy.

– Co...

– Cicho, zaraz porozmawiamy. Chodź – uśmiechnięty mężczyzna wyciągnął do dziewczyny tę mniej pokrwawioną dłoń.

Wahała się chwilę. Patrzyła na rękę, na niego, na potłuczone szkło, które dało jej wyjście.

Patrzyła bez słowa. On też nic nie mówił, w końcu jednak cofnął rękę ze słowami – „ach, głupiec ze mnie” wytarł resztkę krwi chusteczką i gdy stwierdził, że już jest w porządku, wyciągnął ją do niej ponownie.

– Chodź, nie bój się.

Z jego pomocą wyskoczyła z unieruchomionej windy.

– Kim pan jest?

Obrzucił ją badawczym spojrzeniem. Wydawała się być opanowana, choć może to było złudzenie. Mocno zaciskała szczęki i dłonie, zerkając na niego.

– Wszystko ci wytłumaczę później. Teraz chodź.

– Nie. Widziałam, co pan zrobił. W jakiś niezrozumiały sposób rozbił pan szybę swoją krwią. Jak? Kim pan jest? Co tu się dzieje? – kręciła głową. Niepokój walczył z paniką. I tak nic z tego nie rozumiała.

On wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

– Jestem Strażnikiem – odparł. – I, co lepsze – ty również. Chodź do gabinetu. Nie mamy dużo czasu, jeśli chcemy ocalić Maiusa i całą resztę.

Dziewczyna pokręciła głową, cofnęła się o pół kroku. Jeszcze jedno pół i trafi na poręcz schodów, mogłaby zejść na dół i wyjść z budynku, nadal w końcu nie wiedziała, co to był za wstrząs, który odciał zasilanie i unieruchomił windę.

– Jesteś szalony – rzuciła, nieświadomie zmniejszając oficjalny dystans. Ale z drugiej strony – przecież widziała, co się stało chwilę temu, na podłodze wciąż leżało szkło naznaczone jego krwią. Widziała je. Przecież rozumowo widziała kawałki szkła.

Długie korytarze zaczęły drzeć echem równych kroków, jakby po uczelni spacerowały defilady.

Mężczyzna z niepokojem zerknął na drzwi łączące klatkę schodową z korytarzem.

– Nie mamy czasu. Musimy iść do bibliotek.

– Co, bo sesja? – prychnęła. – Ja stąd idę. Sama.

Ruszyła w stronę drzwi, ale on złapał ją za rękę i szarpnął.

– Nie możesz!

Echo zbliżyło się. Do ich uszu doleciał dźwięk nie dający się pomylić z niczym innym. Seria z karabinu, która wśród marmurów brzmiała ogłuszająco.

Monika zbladła.

– Co się dzieje?

– Wysłali wojsko. A mówiłem – mruknął mężczyzna i szarpnął dziewczynę. Ruszył schodami w dół, ciągnąc ją, ale ona nie protestowała.

Za dużo na nią spadło, za dużo się wydarzyło, za dużo nie rozumiała.

On starał się kontrolować sytuację. Gdy zmienili piętro, drzwi, które miały stanowić jej wyjście z tej sytuacji otworzyły się gwałtownie.

I nagle zrobiło się głośno.

– Rozdzielamy się!

– Wy bierzecie górę, my dół. Jazda!

– Chcemy mieć ją żywą, pamiętajcie.

– A jego...

– Tak, jego można sprzątnąć. Gazu!

– Biegiem! – Marek pociągnął Monikę tak silnie, że prawie spadła.

Po rozpaczliwym biegu i skokach po nieraz trzy stopnie stanęli dopiero przy drzwiach do przyziemia.

– Właż – syknął Marek, a sam przesunął ręką po podłodze, znacząc ją na czerwono od jednej ściany do drugiej.

Monika wpadła w chłodny zaułek, ale nim Marek zatrzasnął za nimi drzwi, mogłaby przysiąc!, że nagle tuż na granicy wyrysowanej jego krwią zaroilo się od lekko przejrzystych postaci.

– Zatrzymają ich na jakiś czas, może zdążymy.

Marek wciąż trzymał ją za rękę i ciągnął za sobą nieco otepiałą dziewczynę, ale lekko zwolnił.

– Powiedz mi, o co chodzi – powiedziała jakoś tak dziwnie powoli.

Może po prostu zapomniała się obudzić.

Może nie powinna przed spaniem pić tego jabłkowego soku i zjeść czekolady. Może nadprogramowa dawka cukru tak jej uderzyła do głowy, że zmieniła spokojną noc w ten porwany koszmar.

Nie ma innego wyjścia. Może gdyby trzepnęła głową w ścianę uderzenie obudziłoby ją. Albo musiałaby spać skąd – tak było w *Incepcji*. Pytanie tylko, czy w podziemiach jest skąd spadać; nie, to zły pomysł. Może jak skupi się wystarczająco mocno, będzie mówiła sobie – ej, obudź się, obudź się, bo to sen, może faktycznie ocknie się z powrotem w swoim łóżku.

– Hej!

Otworzyła oczy. Mężczyzna nie był już tak spokojny jak przed chwilą.

– Mówię do ciebie. Musimy się pospieszyć, a nie kontemplować rzeczywistość. Nie mamy dużo czasu, skoro tu już jest wojsko.

– Dobrze...

Znowu czas zwolnił. Przypomniał jej się plakat, który wisiał w liceum przy wejściu. Jak zachowywać się podczas ataków terrorystycznych. Przypomniało jej się, że w sytuacji bycia zakładnikiem należy wykonywać wszystkie polecenia, unikać kontaktu wzrokowego i pytać o pozwolenie odnośnie każdej czynności. Dlatego się zgodziła. Tylko dlatego się zgodziła. Tylko dlatego pozwoliła, by dalej ciągnął ją za rękę w głąb pomieszczenia, które przestawało wyglądać jak magazyny i nieużywane gabinety nielubianych profesorów, umieszczonych w podziemiach, a nie na którymś z renomowanych pięter.

– Gdzie my jesteśmy?

To nie było przyziemie znane Monice z sytuacji załatwiania stażu bądź z doświadczeń zagubionego pierwszaka, który pomylił wejścia. Choć sądziła, że po tylu latach Maius jest jej znany jak własna kieszeń, okazało się, że grubo się pomyliła; korytarze wyłożone kamieniem przypominały odrestaurowaną część holu głównego, lampy jednak były jarzeniowe, takie szpitalne. Specyficzny zapach tworzyła mieszanina stęchlizny, stearyny i starych książek, najdziwniejsze jednak były ściany. Białe w kamienie metalowe uchwyty na pochodnie lub świece były puste, przywieszone w pewnym niedbalstwie stare ryciny poruszały się przy każdym ich kroku, niemalże co krok kamień znaczyły brązowe, zaschnięte ślady – przypominające te symbole, które profesor wymalował ręką na szkle.

Opcje były trzy.

Albo spała.

Albo miała halucynacje.

Albo ktoś przygotował niesamowitą mistyfikację i prowadzenie jej tymi scenografiami rodem z horroru?, fantasy?, escaperoomu? – miało doprowadzić ją do wielkiego MAMY CIĘ!

Nie no, jeszcze była masa tych, no, NPC-ów odpowiedzialnych za wojskowe klimaty.

Podsumowując – ktoś się szarpnął. Takie uwiarygodnienie historii nie mogącej mieć miejsca musiało pochłonąć spory budżet.

– Pani Moniko! Proszę mnie posłuchać.

Natarczywy głos mężczyzny wybudził ją z rozmyślań, będących próbą zrationalizowania tego, co widziały jej oczy.

Zatrzymali się oboje przed kolejnymi, tym razem przeszklonymi drzwiami. Do tej pory droga prowadziła w dół i tu zrobiło się chłodno.

– Podejrzewam, co pani sobie myśli. Że to żart, że to sen, że ktoś panią wkreca. Wiem, jak to wygląda. Ale czy pani myśli – uśmiechnął się. – Że nasza uczelnia nazywana jest poznańskim Hogwartem bez powodu? Zapraszam – pchnął drzwi, które ustąpiły od razu.

Miejsce, w jakim się znalazła rozmieszczeniem pomieszczeń i labiryntów półek przypominało bibliotekę na trzecim i czwartym piętrze z kilkoma wyjątkami. Tu panował półmrok, podczas gdy tam przeszklone ściany zawsze wpuszczały sporo światła. Tam przy półkach stały komputery – tu stanowiska, przy których można pracować były puste. Pomiedzy półkami stały ponadto różne eksponaty – od wyglądającej na bardzo starą, średniowieczną broń, przez przyrządy nie przypominające żadnych z tych, do których Monika przywykła, bądź wreszcie kości – czaszki lub piszczele.

– To czaszka jelenia – powiedział profesor widząc osłupienie dziewczyny. – Mówi się, że jelen, złoty jelen to zwierzę kłusujące między dwoma światami, mogące równie łatwo co wysłać na tamten świat – z tamtego świata odesłać. Kości jelenia zmieniają się w potężne artefakty.

– Artefakty? – parsknęła. – Że niby bunga-bunga, wudu i te sprawy?

– Proszę nie lekceważyć mocy legend i wierzeń, pani Moniko – rzekł poważnie. – Wielu z tych, którzy je zlekceważyli prędko tego pożałowali.

– Co to ma być? Co to za miecz? – wskazała na żelazo wiszące na ścianie.

– Dzięki pogańskim rytuałom ten kawałek żelaza jest w stanie odesłać na tamten świat różne zjawy – od wywołanych duchów aż do demonów – zaczął mężczyzna z ożywieniem i swego rodzaju pasją. – Używany był także przez królów i dwór jako ochrona przed niebezpieczeństwem. Dla laików ten miecz to szczyrbec.

Oho, ktoś tu chyba przesadził z alkoholem. Monika pokręciła głową.

– Szczyrbec? Że niby ten, który jest na Wawelu?

– Tam jest kopia – uśmiechnął się szerzej. – Przedmiotu o tak wielkim ładunku paranormalnym nie można trzymać byle gdzie i pokazywać byle wycieczce.

– Dobra – Monika uniosła dłonie. – Poddaję się. Albo ja zwariowałam, albo pan. Nie ma innej opcji.

– Jest – skinął. Wciąż uśmiechnięty nie wydawał się być zdziwiony jej reakcją. – Jesteśmy w wyjątkowym miejscu, które usłyszało już tysiące historii, ale tysiące nadal są do opowiedzenia. Pozwól mi opowiedzieć ci jedną, która albo zmieni wszystko, albo nie zmieni nic – i wtedy stąd wyjdiesz, nigdy nie trafisz tu ponownie i będzie tak, jakby to wszystko się nie wydarzyło. Zgoda?

Chwilę po prostu na niego patrzyła. Potem skinęła.

– Gdy uczysz się o naszym świecie w szkole poznajesz planety na fizyce i reakcje fizyczne na chemii. One mają tłumaczyć, co, jak i dlaczego. Gdy chcesz wiedzieć coś, co jest, ponad człowiekiem idziesz na filozofię, gdy uznajesz, że ponad nami jest Bóg i chcesz wierzyć – na religię. Patrzysz na zegarek i widzisz, że wskazówki idą w jedną stronę, a czas wydaje się linearny i cykliczny. Jednak są i byli ludzie, których nazywamy Strażnikami. Ludzie widzący więcej i czujący więcej. Doskonale wiesz, o czym mówię – zaśmiał się. – Jak w „Romantyczności”...

– Czucie i wiara silniej mówi do mnie, niż mędrca szkielko i oko – zacytowała powoli, w głowie i tak mając wielkie *what the fuck*.

– Oczywiście. Mickiewicz próbował przekazać słuchającej go gawiedzi i inteligencji, że jest coś więcej. Nie do końca to się udało, ale dziś dzięki temu możemy czerpać z ogromnych pokładów wiedzy o świecie, którego nie poznamy rozumowo właśnie dzięki romantyzmowi. Czas wcale nie jest linearny. Są nieskończone ilości światów. A miejsce jak to – biblioteka w podziemiach Collegium Maius to punkty styczne, skrzyżowania pętli, jak zwał, tak zwał, to miejsca skupiające ludzi czujących i widzących więcej niż inni. Żyjemy intensywnie, tak samo długo, jak normalny człowiek, ale w różnych rzeczywistościach. Wiele razy. Choć subiektywnie – tylko raz, bo tylko raz ty to naprawdę ty. W tej wersji rzeczywistości, która nosi numer, zaraz, momencik – urwał i podszedł do grubej książki zajmującej wyróżnione stanowisko na środku tej biblioteki. – A tak, numer trzynaście tysięcy sto osiemdziesiątej siódmej ty, Monika Izdebska spotykasz mnie rano siedemnastego lutego i tego dnia dowiadujesz się, że również należysz do grona Strażników, a Maius upomina się o ciebie, bo tak uczelnia, która jest schowana przed wścibskimi oczami zwykłych ludzi potrzebuje nowego bibliotekarza. W tej wersji rzeczywistości jakieś pół roku temu nasza ekipa niestety nie poradziła sobie z duchami ofiar hitlerowców. I duchy zaczęły samowolnie opuszczać mury uczelni. I zaczęły igrać z cywilami. Te wypadki tu, na Fredry, kobieta rzuca się pod tramwaj, to ostatnie samobójstwo na dworcu – to wszystko się łączy i przecina w tym dokładnie miejscu, w tej bibliotece, stanowiącej fundament i podstawę współczesnych murów uczelni. I tu powoli dochodzimy do twojej roli, twojego zadania. Do tej pory ja zajmowałem się tym miejscem. Wydawałem odpowiednie woluminy, katalogowałem broń, tworzyłem łacińskie zaklęcia, czasem podsypywałem sól na parapet, gdy duchy zaczynały za bardzo brykać, ale od czasu, gdy zginęli cywile, to odbiło się na całym mieście. Stąd właśnie wojsko, a raczej wojskowa tajna służba, czyli ludzie tacy, jak my, którzy jednak zamiast pacyfizmu i badań wolą przemoc. Nawet jeśli kosztem czyjegoś życia. Dostałem polecenie, by to wszystko odkręcić i raz jeszcze przekręcić wielkim zegarem czasu, by stworzyć kolejną wersję rzeczywistości. Naszym celem bowiem nie jest biblioteka ukryta w piwnicy, tylko jawne działanie, kooperowanie magii i racjonalizmu, czucie, wiara i wiedza. I może tym razem się uda. Może – zerknął w książkę. – Wersja trzynaście tysięcy sto osiemdziesiąta ósma będzie lepsza niż ta. Niż te tysiące poprzednich. Ale do tego potrzebuje ciebie. Twojej zgody na pracę w tej bibliotece. Tu opowieść na razie się kończy. Pytania?

Monika, która w trakcie słuchania monologu stopniowo traciła stabilność nóg i opierając się o ścianę zjechała aż na podłogę, teraz wstała powoli.

– Więc mówisz, że...

Urwała. Odetchnęła raz, drugi, trzeci, przeczesła palcami włosy, potem je związała.

– Czyli wszystko było ukartowane? Profesorowie całe te lata sprawdzali, czy się nadaje, tak?

Pokiwał głową.

– Mniej więcej. A gdy mieliśmy pewność – po tym twoim ostatnim referacie...

– Nie dopuszczonym do konferencji – mruknęła.

Wciąż nie potrafiła wybaczyć władzom instytutu, że jej artykuł o powiązaniach między Słowackim a pogańskim światem pierwszych Polan został ostro skrytykowany i odrzucony.

On nieoczekiwanie zaśmiał się.

– To było zabawne. Tylko, no właśnie, sama widzisz. Ludziom, którzy magię uważają za wymysł zakompleksionych fanatyków bardzo nie podoba się pomysł, by zaczęła się ona ujawniać. Ale kiedyś mam nadzieję świat zaakceptuje to, czego dziś po prostu nie jest w stanie zrozumieć.

– Czy gdybym została bibliotekarką – zaczęła powoli. – A ty zmieniłbyś rzeczywistość – te osoby, które już nie żyją...

– To wszystko nie miałyby miejsca. Nic nie dzieje się dwa razy tak samo, więc one dalej by żyły.

Jeśli do tej pory cała ta historia trąciła nieco Baśniami Braci Grimm, tak ten argument sprawił, że Monice mocniej zabiło serce. Nie bała się już – w końcu znalazła przyczynę tych wszystkich zdarzeń, których nie umiała wyjaśnić. To, że nie mogła znaleźć sobie miejsca w świecie – wszystko się ułożyło w jedną całość. Po prostu jej przeznaczeniem była praca w tej zaczarowanej bibliotece. Jakkolwiek to brzmi. A jeśli byłaby szansa, żeby ten facet, który zabił się na dworcu miesiąc temu jednak przeżył, kobieta nie rzuciłaby się pod tramwaj...

– To co mam zrobić?

Był siedemnasty lutego, godzina dziewięta trzydzieści, Marek Filipiak właśnie kończył pierwszą kawę.

Wojskowi nie wtargnęli w mury uczelni, zakłócając sesyjny spokój.

Do żadnego wybuchu nie doszło.

Żadna winda nie zatrzymała się między piętrami.

Były bibliotekarz Marek Filipiak uśmiechał się.

Chyba im się udało. Otworzył kajet i zanotował.

Próba 13 188 – 17.02

Próba 13 189 – ?

„Rzeczywistość to nieskończoność możliwości”, pomyślał po raz kolejny i spokojnie zapalił papierosa.

Karolina Król, 21 lat